Lwów, 15. Października 1894. IV. Rok istnienia.

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi we Lwowie:

Rocznie . . . 6 złr. — ct.
Półrocznie . . 3 „ — „
Kwartalnie . . 1 „ 50 „

Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.

Numer pojedynczy kosztuje 25 ct.

Rękopisów drobnych nie zwraca się

Listów nieopłaconych Redakcya nie przyjmuje.

MYŚL

DWUTYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Prenumerata na prowincyi i w całej Austro-Węgierskiej monarchii wynosi.

Rocznie . . . 6 złr. 50 ct.
Kwartalnie . . 1 „ 65 „

w Niemczech: rocznie 14 marek półrocznie 7 m. kwartalnie 3 50.

We Francyi:
Rocznie 16 fr.— kwartalnie 4 fr

Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „Myśli“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct za następny.

Redakcya i Administracya we **Lwowie** przy ul. **Kościuszki** l. 6 gdzie też uprasza się o nadsyłanie wszelkich przekazów i pism. — Prenumeratę przyjmują również we Lwowie wszystkie księgarnie. — W Krakowie: księgarnie: Gebetnera i Spółki, Spółki wydawniczej, Zwolińskiego i Spółki i J. A. Krzyżanowskiego. — W Poznaniu: księgarnia Cybulskiego. — Numera pojedyncze do nabycia we Lwowie w biurach dzienników: **Plohna i Olszewskiego.**

PO WYSTAWIE.

A więc skończyły się „piękne dni Aranżuezu“— zamknięto wrota wielkiej Kościuszkowskiej wystawy, która niewątpliwie zapisze się złotemi zgłoskami w dziejach porozbiorowych Polski, i będzie na zawsze wspaniałym dokumentem polskiej pracy, ducha i myśli w narodowych pamiątek kościele.

Książe-Marszałek powiedział w dniu oficyalnego zamknięcia wystawy:

„Nie wątpię, że ta bardzo znaczna suma energii, pracy, inteligencyi i talentu, która się tu czasowo na tem wzgórzu skupiła, oddziała zbawiennie na rozwój społeczeństwa; że przemysł nasz, pozbawiony dotychczas dostatecznej inicyatywy, znajdzie w niej otuchę, poczucie i wskazówki, w jakich kierunkach rozwijać się zdrowo może. Wszak i te liczne zjazdy naukowe i społeczne, choć może na razie nieco zagłuszone rozgłosem przyjęć wydały niejednę myśl płodną, niejedno ziarno rzuciły, przeznaczone, by urosło w potężne drzewo. Obecnie zadaniem społeczeństwa będzie skupić myśl i wziąć się z podwójną energią do pracy, a będzie z tego zasiewu, o tem nie wątpię, plon obfity.“

Otóż pragnęlibyśmy gorąco, aby te słowa, wyrzeczone imieniem kraju na wzgórzu stryjskiem nie przebrzmiały bez echa, ażeby społeczeństwo nasze, zerwawszy raz przecież z zapałem słomianym, który gaśnie, zanim się jeszcze rozpłomieni, — odczuło ważność idei Wystawy Kościuszkowskiej i przejęło się do głębi szczytnemi hasłami, które przyświecały zacnym inicyatorom i niestrudzonym wykonawcom wielkiego narodowego przedsięwzięcia.

Mówiono już i pisano wiele o sposobach utrwalenia pożytków wystawy krajowej, a projekty sypią się codziennie, niby z rogu obfitości. Naszem zdaniem nie należy spieszyć się z uchwałą w tej sprawie. Lepiej rzecz dokładnie i roztropnie zbadać, poddać projekty wszechstronnej i głębokiej krytyce, niż dorywczo przyjąć w zasadzie jakąś myśl, która następnie napotkać może trudności w praktycznem zastosowaniu, względnie ugrząźć w przysłowiowej galicyjskiej apatyi, bezdarności lub — co najgorsza — rozbić się o tak jaskrawo nas charakteryzujący brak wytrwałości w zamierzonem dziele i zatracić w źródle osobistych animozyj.

Proponują: Muzeum krajowe, coś w rodzaju nieustającej Wystawy przemysłowej, stacyę zbytu naszych towarów w Wiedniu, wreszcie zawsze stający do apelu tam, gdzie chodzi o sprawę publiczną — poseł Teofil Merunowicz wystąpił z dobrze umotywowanym wnioskiem założenia na pamiątkę wystawy, stowarzyszenia kierowników i uczestników wystawy r. 1894. Obyśmy się jaknajprędzej doczekali urzeczywistnienia choćby jednego z tych projektów!

— Zasługi tych wszystkich, którzy się bezpośrednio lub pośrednio tylko, przyczynili do świetnego moralnego sukcesu Wystawy, tworząc z niej oś zwrotną w dziejach odrodzenia narodu — są tak wielkie i niespożyte, że dziś w pierwszej chwili po zamknięciu Wystawy — trudno naprawdę kusić się o przybliżone choćby ich uwydatnienie. Wśród całego szeregu mężów

wybitnych i pracowników niezmordowanych, nazwiska: księcia Adama Sapiehy, jako prezesa komitetu Wystawy, i Dra Zdzisława Marchwickiego, jako jej dyrektora, jaśnieją tak czarującym każde polskie serce blaskiem, że wszelakie obywatelstwa honorowe poszczególnych miast wydają się nikłym bardzo zaszczytem wobec lauru, jakim skronie obu tych mężów Polska cała wieńczy.

J. B.

Ze wspomnień o Teofilu Lenartowiczu.

VI.

(Przeczucia śmierci.)

Śmierć Lenartowicza była nagła i niespodziewana, ale nieprzewidywana niebyła. Sam poeta miał jej przeczucie i jakby widzenie wyraźne.

Z owej trójcy Sodalisów pierwszy zgasł Wczelka 27. grudnia 1882 r. Oto co mi w tym dniu pisze Lenartowicz: — „Całe święta przepędziłem przy chorym. Miałem tu znajomego Polaka (dziwadło) starego Wczelkę, który czasem zachodził do mnie i ten oto umiera. A jak umiera! Ej, ej, ej! jęki nieustające, dusi się, paraliż płuc, doktor obiecuje mu jeszcze.... kilka godzin życia. Mróz, wicher oknami trzęsie, ręce zgrubiały, siedzę w ciemności i czekam na wiadomość czy skończył. Nie wychodzę dziś wcale, czekam aż ta śmierć przyjdzie w gości. Źle się rok kończy, źle! Ja sam czuję się nieswój jakiś... Ale ba! To mi się tak może wydaje!...

Mimo, że się czuł nie swój dotrzymał Lenartowicz słowa staremu drużbie i zamknąwszy mu oczy, na pogrzeb pociągnął. Na pogrzebie tym, — pisze mi Artur Wołyński 22. marca b. r. — Lenartowicz po kilka razy powtarzał: — „Teraz moja kolej!“ A zwracając się do Chodylskiego dodawał: — „Spodziewam się, że brat Ostoja dostoi!“

Jeszcze większe wrażenie wywarła na umysł poety śmierć Julii Leonci, u której się stołował przez lat siedemnaście, a która w tym samym prawie czasie, co i Wczelka rozstała się ze światem. — „Nademną, na trzeciem piętrze, pisze w dniu śmierci jej Lenartowicz, trupa ubierają, trumnę niosą na górę; jęki sierot, płacz, lament — niech Bóg broni!

Dorzucam na komin drzewek cyprysowych, które tu na funty sprzedają, palę podłe cygaro i myślę o moich drogich sercu ze starych i nowych czasów. Może i mnie w tym roku przyjdzie się przespacerować na drugi świat.... Ciekawość, jak to tam urządzone? Biedni my ludzie! Znamy rzeczy po wierzchu, jakeśmy je sami nazwali, ale jak sie one same w sobie zowią, jakie są najtańsze sprężyny i cel.... począwszy od niewidzialnego owada, aż do objętości słońca.... Et, co my wiemy!....

„Sny płoche nas bawią...“

Dzwonią, otwieram, idą księża, baby, wyżej, — wyżej.... ach, ach!... ano smntno.“ —

Od tej chwili powtarzał Lenartowicz często służącej swojej Santanni: „Obaczysz że i ja wkrótce skończę!“ — A nastręczała ku temu zazwyczaj sposobność duża fotografia zmarłej, ofiarowana poecie, przez męża nieboszczki.

Tak przechodziła zima. Lenartowicz wybierał się na wiosnę do Krakowa, aby wziąć udział w odsłonięciu pomnika Mickiewicza, na którą to uroczystość przygotowywał różne poezye, z których jednę przeznaczał na przedstawienie teatralne. Miał także zamiar udać się do Lwowa i tam pozostać aż do przyszłej wystawy, a nawet nie był od tego, aby się tam na dobre osiedlić. Tak przynajmniej domyślali się przyjaciele jego. Sam poeta wszakże zdecydowanym co do tego niebył. On nawet na proponowany mu Lwowie odczyt nie bardzo przystawał i z myślą rychłego powrotu do Florencyi się nosił. — „Moi poczciwi Lwowianie — pisze do mnie w pierwszych dniach stycznia tego roku — ucieszyli mnie życzeniami ilustrowanemi:

Ach skądże tyle wzięło się miłości
Czy anioł niebios na tej ziemi gości?

Do Galicyi wyrwałem się ze słowem, że pojadę, ot by coś odrzec przecie na przysłane mi powinszowanie. Może że i pojadę, ale nie na robienie wizyt. Przycupnę gdzie w lesie, że nikt się o mnie nie dowie. Odczyt... che! ale ba! toż bym się wybrał! Nie — niech młodzi próbują sił swoich, niech wyzywają do walki; staremu nie czas, nie czas....

Ale dość. Zobaczymy. W żadnym razie głosu zabierać nie będę. Do Lwowa wpadnę na parę dni, a potem, jakem się zapędził, tak powrócę na Montebello, chyba żebym — co nieśmiertelnym się zdarza — śmiertelnych doświadczył losu i kości moje na Łyczakowskim pozostawił cmentarzu.

Tak podżartowując sam z siebie i mimowoli z przeczuciami swemi się zdradzając, zaczął już porządkować papiery, rękopisy, sortować książki, które z sobą miał zabrać i wykończać statuetkę Mickiewicza, którą odlaną w brązie miał do Galicyi wziąć ze sobą.

Całej tej zimy, mimo ostrego chłodu i silnej tramontony, służyło Lenartowiczowi, zdrowie wcale nieźle, a nawet służył mu i humor. Zwykłe kółko przyjaciół i znajomych zebrane razem, panie: Jabłonowska, Ogonowska i Straszewska, Michał Sozański i Leon Zawiejski, który malował portret poety odwiedzali go codziennie.

Oto relacya z chwil ostatnich, podług szczegółowego opisu w listach: panny Julii Jabłonowskiej, Krystyna Chodylskiego, Ostoi, Artura Wołyńskiego, a wreszcie wiernej jego długoletniej służącej Giovanniny Santanni.

Dnia 2. lutego Lenartowicz wstał rześki i pisał listy, kiedy przyszedł go odwiedzić Ostoja Chodylski. Była godzina 10 i już gawędzili czas jakiś, kiedy nadszedł Zawiejski Leon i tak na wesołej rozmowie zszedł czas do południa. Około pierwszej poszedł Lenartowicz starym obyczajem na obiad, do wieczornego bowiem późnego jedzenia przywyknąć nigdy nie mógł. Powróciwszy do domu pozował Sozańskiemu godzin parę, poczem wyszedł wizytę jakąś oddać na San Gallo, z San gallo do Porta Prato odbył drogę piechotą, gdyż tramwaje były przepełnione, a w dziwny jakiś sposób dnia tego przechadzka piechotą była mu miłą. Z Porta Prati na Montebello powrócił omnibusem i zaraz — ciągle jakiś podniecony nerwowo, udał się na herbatę do

panny Jabłonowskiej, gdzie spędził cały wieczór. Były tam: panna Czapska, towarzyszka panny Jabłonowskiej i pani Ogonowska. Około 11. wieczorem powrócił do siebie, nucąc jeszcze na schodach piosenkę, lecz gdy się zaczął w łóżko kłaść nie dobrze mu się zrobiło i uczuł brak tchu w piersiach.

Natychmiast Giovannina pobiegła uwiadomić pannę Jabłonowską, która w tejże prawie chwili z towarzyszką swoją przyszła. (Mieszkała panna Jabłonowska o dwa domy od Lenartowicza). Za jej przybyciem chory skarżył się na nieznośny ciężar w głowie, niepokój, smutek i silny ból w łokciach. Bolu głowy nie doznawał, a tylko ciśnienie na tył czaszki. Posłano po doktora. Lenartowicz stałego doktora nie miał: a w tej godzinie można było sprowadzić tylko dyżurnego. Był to młody lekarz, bez wielkiego jak się okazało doświadczenia. Ten gdy przyszedł, opukał piersi, serce i płuca znalazł w porządku, zalecił spokój, przepisał maść do wcierania w łokcie, których ból uważał za reumatyzm. Ale nie był to reumatyzm. Był to pierwszy atak apoplektyczny, jedyny moment, w którym chory przez puszczenie krwi mógł jeszcze być uratowanym. Moment ten przeminął, a z nim chwila łaski, jaką śmierć zostawiała poecie.

Po wyjściu doktora, Lenartowicz uspokoił się nieco i prosił, żeby go zostawiono samego, mówił że może uśnie, panie zatem powróciły do siebie. Nie był wszakże kontent z lekarza i postanowił nazajutrz rano wezwać innego, znajomego sobie.

Uciszyło się, ale chory usnąć nie mógł. Giovannina nie odstępowała go. O pierwszej, czując rosnący niepokój i rozdrażnienie, podniósł się z łóżka i zaczął chodzić po swoim pokoiku, potrącając się o stół i stołki i mówiąc do siebie głośno słowa w języku, którego Giovannina nie rozumiała. Naraz zawołał z wielką siłą: „Addio patria! Addio miei lavori! Addio tutto!“ — Załamał ręce, stał przez chwilę ze spuszczoną głową, poczem siadł przy biurku, przeglądał papiery, listy, wreszcie wziął pióro i napisał do siostrzeńca, Stanisława Leszczyńskiego kartę, której treść, podług przesłanej mi przez Artura Wołyńskiego kopii tu podaję:

— „Kochany Stasiu, czuję się bardzo kiepsko, nie wiem czy do rana dociągnę, jak otrzymasz telegram o mojej śmierci, natychmiast przyjeżdżaj. Znajdziesz moje rozporządzenia testamentowe, wszystko co posiadam jest twoje — niech cię Bóg błogosławi. — Twój Teofil.

Marya Konopnicka.

GAPIE.

NOWELA

przez

K. ROJANA.

Do pewnego miasteczka przyszedł raz zmęczony podróżny i zatrzymał się zdala od ludzi, na rozstajnej drodze, w miejscu, gdzie stare lipy zespoliły się koronami w górze i utworzyły cienistą ustroń, wygodną dla tego, kto po dalekim chodzie wytchnienia i ciszy zapotrzebuje.

Miasto leżało w dali; czerwona wieżyca kościoła wznosiła się ponad ciemne, brudne dachy domów i chat przedmiejskich, ponad zielone sady, płotki i sztachety, wznosiła się jak grot w niebo skierowany, a widniała w swej wspaniałości na trzy mile dokoła.

Podróżny, gdy zapatrzył się w tę wieżycę, gdy wytchnął i sił nabrał, gdy poczuł w duszy głębokie jakieś ciśnienie, tak głębokie, że gwałtem zechciało mu się być olbrzymem i wyżej sięgnąć ręką, niż szczyt wieżycy, — wtedy wstał, zatoczył w ustroń pod lipami kilka głazów z pobliskiego kamieniołomu, wydobył z worka podróżnego młotek i dłuto, i począł krzesać iskry z bezkształtnej bryły, bijąc w nią raz po raz z tytaniczną siłą...

Ciekawi ludzie przychodzili, dziwowali się i pytali:

— Hej, człowieku, a wy co robicie?

On milczał. Lecz gdy zaczęli obrzucać go coraz natarczywszemi pytaniami, odwrócił się i milcząc dalej, spojrzał na nich takim ognistym wzrokiem, że się cofali wstecz, jak przed dzikim i odchodzili, mówiąc po drodze:

— To waryat... zdala od niego.

Długo, dłużej może niż miesiąc miał czas zaciemnić się całkiem i rozświetlić na nowo, pracował ów dziwny człowiek, bijąc od świtania do ciemnej nocy młotem w odłam skały, aż jęk żelaza do pierwszych chat przedmiejskich dolatywał.

Myślano, że to potępieniec Boski, co dotąd swej pracy nie zaprzestanie, póki grzechów doczesnych męką i potem nie zmyje.

Jakoż zmyć musiał wreszcie ciężkie winy potępieniec Boży, bo skończył pracę, pochylił przed nią głowę i poszedł sobie w świat dalej.

Teraz dopiero zapanował ruch wielki w miasteczku. Jak do cudownego miejsca pośpieszyli wszyscy: i wielcy i mali, i źli i dobrzy, i mądrzy i głupi. — słowem, poszli wszyscy, gwoli zobaczenia rzeczy ciekawej, nigdy niebywałej, rzeczy, którą nie wiedzieć na jaką pamiątkę, szaleniec miastu postawił.

Była to statua niewiasty o cudownie pięknej twarzy. Twarz ta, choć niewieści miała wygląd, do żadnej z żyjących kobiet oblicza przyrównać się nie dała, bo tyle tam było spokoju, tyle powagi, tyle dobroci i szlachetności, że chyba naraz takiej mocy piękna żadna z ziemianek mieć nie może. Patrząca w dal niewiasta stała poważna, przyodziana w szaty gładkie, aż do nieokrytej nogi obwisłe, stała tak z jedną ręką półłukiem wzniesioną ku niebu, drugą opuszczoną swobodnie, stała na sześciennym słupie, rzeźbionym w paski, linie, wężyki, w liście nieznanego kwiecia, które-to rzeźby w różne i isterne wypukłe i wklęsłe zlewały się kwadraty, niby ramy okienne, niby gzemsy wielkiego ołtarza.

Zdawało się, że niewiasta chce do zgromadzonych przemówić głosem archanioła, tak bardzo szczerem życiem tchnęła.

Ciekawi ludzie — ot, zwyczajni sobie ludzie, co to odbiegli od codziennych zajęć i chociaż się gapią, mają innemi sprawami głowę zajętą, zeczęli zaraz przyglądać się dziwowisku ze wszystkich stron jak najdokładniej, byle tylko rozpoznać, co to jest takiego?

Na jednej z płyt bocznych wykuty był dłuższy napis w nieznanym języku i nieznanemi czcionkami ułożony. Chociaż zatem niejeden starał się z krzywizn i haków odczytać nazwę postaci, przecież żaden dokazać tego nie mógł. A że zagadka jest tem ciekawszą,

im bardziej tajemniczą i niezrozumiałą się wydaje, więc wnet posypały się uwagi, domysły, sądy, przypuszczenia, z których wyłoniło się jedno najważniejsze pytanie:

„Kto jest ta figura i co przedstawia?“

— Ja myślę — rzekł najpierw szewc — że to będzie królowa angielska, Wiktorya.

Jak wiadomo, szewcy najwięcej posiadają odwagi, najpochopniejsi są do sądów, przemówień się nie boją, a lubią politykę i tę stosują do czegobądź, byle tylko coś z niej zarwać.

Lecz inni zakrzyczeli go zaraz i śmiać się mocno poczęli; wprawdzie nie dlatego, że aby przypuszczenie to wydało im się niedorzeczne, lecz jedynie dlatego, że szewc wyrwał się pierwszy. Poczciwiec zafrasował się mocno z tego powodu i sam wnet uznał, iż strzelił bąka, zwłaszcza gdy spostrzegł, że niewiasta jest bosą.

— Tak, to prawda — pomyślał — królowa angielska musi przecież chodzić w trzewikach... tylko niewiedzieć czy z gumilastyką, czy w sznurowanych?

Z tem też od figury odstąpił.

Po nim wybił się na pierwszy plan miejski fryzyer. Przekrzywił on głowę, spojrzał jednem okiem na włosy niewiasty i zauważył z pewnem zastrzeżeniem, niechybnie dlatego, by nie wyśmiano go jak poprzednika.

— Hm, nie wiem... ale zdaje mi się, że to będzie Wenus, albo też ta druga, jak się nazywa...

Zgromadzeni poczęli już poniekąd wierzyć, że będzie to zapewne „ta druga, jak się nazywa...“

— Nie, to nie Wenus — zawyrokował aptekarz, stary kawaler — Wenus, mam przecież u siebie na szafie z chininą i ziółkami na kaszel i poznałbym ją wszędzie o północy. Mojem zdaniem, nie będzie to Wenus, ale karyatyda z kogucińskiego muzeum, wielkiego miasta Kogutowa. Byłem tam przecież swego czasu i widziałem. Ba, śliczne rzeczy są tam do widzenia.

Zaczął też natychmiast najbliżej stojącym opowiadać, jakie to cuda widział swego czasu w owem muzeum kogucińskiem.

Tymczasem rękawicznik podlazł pod samą statuę i oglądnął jej rękę zblizka okiem znawcy.

— Wiem, już wiem — zawołał uradowany. — Tak się zastanawiamy wszyscy, tak głowy łamiemy, a nikomu nawet na myśl nie przychodzi, że jestto poprostu Adelina Patti.... Przysięgnę, ze Adalina Patti. — O!... przecież czytałem o niej w gazetach, zresztą po ręce zaraz poznałem.

Zaprzeczył temu ironicznym tonem młody urzędnik, zaręczając, że Patti jest kobietką szczupłą, niskiego wzrostu, gdy tymczasem statua wygląda raczej na jakąś wspaniałą apoteozę, niżeli na artystkę teatralną.

— Wiele podobieństwa — zauważył on po cichu zwracając się do kolegi biurowego — posiada ona z naszą panią szefową.

Następnie oświadczył golarz, że gdyby to była postać męska, a z wąsami, zarazby światu jako rzeczoznawca prawdę wyświetlił, atoli brak wąsów nasuwa wielkie trudności w ocenie.

Niemniej żałował pocztmistrz, że kobieta nie jest mężczyzną, bo gdyby tak było, nie wahałby się ani przez sekundę w wydaniu wyroku, że jestto bożek Hermes, patron poczt i telegrafów.

I wielu innych zabierało głos po nim jeszcze, czyniąc najrożnorodniejsze przypuszczenia, przystosowując sąd o niewieście do zakresu swych pojęć codziennych i upierając się przy wyrzeczonem zdaniu usilnie. Ten widział w figurze postać ziemską, ów nadziemską, ten podobiznę, ów przenośnię. Im pojęcia sądzącego były szczuplejsze, tem wyrok śmielszy, śmieszniejszy, wprost dziwaczny. Niektórzy zastrzegali się, niektórzy chcieli na swe zdanie przysięgać, — lecz nie było między zgromadzonymi ani jednego, ktoby przyznał się otwarcie, że statuy nierozumie i nic o niej powiedzieć nie może. Stare przysłowie „co głowa, to rozum“, znalazło w tym wypadku dosadne potwierdzenie.

Aż nareszcie nadszedł wiekowy profesor, siwowłosy staruszek, bardzo poważany i ceniony w mieście dla niezmiernej uczoności, gdyż całe życie nad książkami spędził, myśląc i roztrząsając stare i nowe prawdy podane przez ludzi, którzy, jak on, całe życie myśleli i roztrząsali.

Ogół wymowną ciszą zdaje się powiadać:

— Jeżeli ten nas nie objaśni, to nikt już chyba ciekawej statuy nie zrozumie.

Jakoż starzec, włożywszy okulary, jął młodzieży szeroko tłómaczyć, w jaki sposób do oceny dzieła zabierać się powinien

— Nie starczy tu jedno spojrzenie, jedno przelotne wrażenie — mówił. — Kto chce całkowity sąd o rzeczy wydać, musi rzecz tę całkowicie zbadać. Spójrz zatem od góry do dołu, wzdłuż i wszerz, z prawej i lewej strony, obejrzyj ją dokoła, zaglądnij z góry, popatrz zdołu, słowem, ze wszystkich stron oku ludzkiemu przystępnych. Dotknij się dalej ręką przytul ucho, zakosztuj smaku i woń rozeznaj. Ale nie koniec na tem. To, coś uczynił będzie, dopiero setną częścią podstaw do oceny; teraz bowiem przychodzi część najtrudniejsza. Oto musisz wniknąć w istotę rzeczy, w głąb statuy, poznać jej ducha, jej ideę, jej myśl przewodnią, kryteryum, musisz własnym rozumem przebić twardą skorupę wierzchnią, musisz przeniknąć wewnętrzną zawartość i dotrzeć do tych krańców, gdzie już nie pięć zmysłów, jeno myśl oderwana dojść może i na niej dopiero się opierając, możesz sąd całkowity o rzeczy wydać.

W ślad za temi słowy obchodzić począł statuę dokoła, oglądać ją, badać, słuchać, rozeznawać, woń smaku zakosztować... Następnie odsunął się parę kroków wstecz i rzucił „myśl oderwaną“ prosto w cudowną twarz niewiasty.

I sam stał długo, poważny, nieruchomy, wyczekujący powrotu oderwanej myśli, która miała mu przynieść natchnienid i światłość prawdziwą.

Wreszcie rzekł:

— Zdaje mi się, że statua ta przedstawia asyryjską królowę Semiramis, żonę króla Ninusa. Przypuszczenie moje opieram na napisie, wykutym poniżej, który bądzie niechybnie pismem klinowem. Asyryjczycy posługiwali się właśnie tem pismem, a królowa ich była nadzwyczajnie piękną. Gdy zatem połączymy te dwa spostrzeżenia; pismo klinowe i piękność kobiety, dojdziemy do przypuszczenia, że statua ta wyobraża królowę Semiramidę.

Tu starzec poruszył siwą brodą, popatrzył jeszcze raz na niewiastę uważnie i wyszeptał z cicha.

— Dziwna to statua, dziwna.

Poczem umilkł.

Umilkł, gdyż w głębi duszy szeptał mu jakiś głos tajemniczy i czynił wyrzuty.

— Ej, stary, może ty się mylisz, może twoje przypuszczenia są błędne, a tylko dla ambicyi nie chciałeś wobec tłumu pozostać bez odpowiedzi i podałeś coś

takiego, czego gmin nie zna i nie wytknie ci, że zmyślasz?

Z tej to przyczyny stary mówił do siebie półgłosem:

— Dziwna to statua, dziwna.

Istotnie, była to bardzo dziwna statua. Wyniosła, piękna, spokojna, szlachetna, a tak niezgłębiona i tajemnicza. Na pozór każdemu się zdawało, że znał ją gdzieś, czy widział, że nic łatwiejszego, jak wymienić jej imię... a przecież nikt imienia tego powiedzieć, ani też odczytać z zagadkowych liter nie mógł.

W jakiś czas potem przechodził znowu szalony artysta obok miasteczka, a gdy się zatrzymał przy swojem dziele, wydobył młot i dłuto z podróżnego worka i wykuł nowy napis na odwrotnej stronie słupa, na jednej z wolnych przestrzeni głazu. Tym razem jednak objaśnienie ułożył w mowie zrozumiałej mieszkańcom miasteczka:

„Daremnie trudzisz niedołężny umysł nad zagadką mego bytu“. Od wiek wieków jestem i będę niezbadaną, choć mędrców milion uderzał czołem o marmur mego piedestału.

Na imię mi: Prawda!

Trzeci salon „Różowego Krzyża“.

(Kor. artystyczna „Myśli“).

Paryż d. 5. października 1894.

Nad drzwiami rozwinięte różowo-czarne chorągwie zakonu, po obu stronach wejścia afisze: „Józef z Arymatei, pierwszy wielki mistrz Grala pod maską Leonarda de Vinci i Hugona z Paiens, pierwszy mistrz świątyni, o rysach Dantego towarzyszą aniołowi rzymskiemu, dzierżącemu kielich pod wynurzającą się różą cierniową“. Salon i przedsionek owiane wonią kadzidła. Kilka posągów osłoniętych krepą, osiemdziesiąt trzy obrazy.

Od lat trzech urządza Sar Peladan wystawy malarskie, a artyści biorący w nich udział nie pozostają w żadnym związku z zakonem. Słowo: cudzoziemiec dla „Różowego Krzyża“, czytamy w regulaminie dołączonym do katalogu salonu, „niema znaczenia“. Malarze wszelkich narodowości mogą zgłaszać się do konsulów zakonu, ci utwór obejrzą i fotografię jego wraz z oceną prześlą Zarządowi. Tylko kobiety nie dopuszczone według „praw magicznych...“. Nareszcie zastrzeżenie co do formy: przekroczenie proporcyj ciała ludzkiego, naruszenie gwałtowne perspektywy i w ogóle techniki artystycznej pociąga za sobą nie przyjęcie. Z motywów jedenaście kategoryj zostało wykluczonych: malarstwo patryotyczne i wojskowe, sceny z życia spółczesnego, malowniczy tylko oryentalizm, zwierzęta domowe i sportowe, kwiaty i akcesorya dekoracyjne, marynarka, humorystyka. Od portretu i krajobrazu wymaga się odpowiedniego nastroju.

Więc nie wynosi się z małego pokoju wrażeń niesmaku, jak z salonów przeciętnych, po obejrzeniu piętnastu kucharek, trzech korcy śliwek i gruszek i dwudziestu rodzajów żołnierzy francuskich: defilujących, rannych, broniących sztandaru, przewożących listy i pozdrawiających generała. Zresztę pewien szwank ograniczeń Peladana dowodzi, że sztuka gibka jak wąż prześlizguje się przez wszelkie przepisy. I malarstwo historyczne i sielanka i kwiaty zaliczone do tematów nie pożądanych, ucharakteryzowawszy się lekko, przebyły rogatkę.

Duży naprzeciw na ścianie obraz przyciąga wzrok. Obszar gwiaździsty, niby mleczna droga, w nim zawisła harfa. Na harfie spoczywa głowa blada, o rysach szlachetnych, z czołem wysokiem, opasana wieńcem wawrzynu: „Orfeusz“. Nic więcej; motyw sprowadzony do największej prostoty. Ale właśnie to umieszczenie w nieskończoności, wyraz obrazu przenoszą gdzieś w rozgwieżdżone krainy ciche, milczące, a pełne światła. Spokój owiewa myśli. Symbol przeczysty prawdziwej poezyi.

Pięć studyów głów tegoż malarza belgijczyka Jana Delville'a należy do najpiękniejszych utworów wystawy. Miękkość i delikatność zbliża je do wybitnego malarza Franciszka Carrière'a, nawet motywy mają wspólne: w salonie widzimy Maternitas (macierzyństwo) Delville'a, muzeum luksemburskie mieści tejże nazwy obraz Carrière'a.

Belgijczyka Middeleera „Opętana“ wywołuje inny nastrój. Dwie barwy panują na jego obrazie. Historyczka lśniąco-czarno odziana czyta książkę wśród kwiatów ognisto-czerwonych, podobnych do gorejących sztyletów, otaczających jednym pasem ognia. Zda się, że w każdym zamieszkał demon, tak dziwnie wyginają się, łączą w gromady, lgną do jej sukni. I kolor błyska na całą szerokość sali i oczy jej podniesione na kwiaty błyszczą, a z twarzy bije przestrach i zgroza obłąkania.

Nastrojony obraz Leveque'a, również z Belgii: „Viperina i Pantera“ symbolizuje tak zwaną przewrotność kobiecą, od romantyków przez Baudelaire'a i Swinburne'a płynący prąd. W lesie, na trawie wypełniając całe tło obrazu leżą dwie kobiety ustrojone w kwiaty o pysznych ciałach kolorytu Siemiradzkiego, z głów ich spadają warkocze szerokie jak rzeki, jeden złotoczerwony, drugi czarny. Twarze dziwnie złe, oczy zamrażające. U czarnowłosej zielone jak trawa, zimne, wężowe, u drugiej pantery. Wielka siła przedstawienia.

Trzy te obrazy przewyższają o całe niebo poczet innych. Są tam próby upostaciowania namiętności: n. p. „Archéa“ Chabasa, „wcielenie silnej woli i rozkazu“ — kobieta o twarzy dość energicznej; krajobrazy nocno posępne, z których najcharakterystyczniejszy „Milczenie“: niewyraźna postać z rozkrzyżowaniemi rękami w fioletowym lesie; motywy legendowe, tu i owdzie impresyonizm, kilka madon, dziewczynka wracająca od pierwszej komunii. Ottevaere'a: Narodzenie Wenery, wynurzenie się kobiety — niezbyt zresztą urodziwej — w zatoce morskiej, o brzegach nizkich, prawie bez roślinności, świetnie oddaje ciszę. Ulubiony illustrator powieści symbolistycznych Khnopff dał trzy portrety kobiet. Rysunki Gachonsa przypominają Grasseta, Rigaud ucieka się do motywów egipsko-indyjskich. W jednym obrazie bóg Wisznu spina węża Sesza pośród oceanu chaosu, w innym dusza – ba — w formie ptaka leci z grobu swego w piramidzie co „słońca nocnego“. Zakradły się nawet utwory bogatsze w światło; Marcin Simonis dał „Dzień“, młodzieńca, rzucającego budzące się w przestworze złote strzały: „Miłość trwożliwa uciekająca przed syrenami“ La Lyre'a ma może nieco mistycyzmu w podpisie „zresztą jest to obraz bogaty w ciało jak Mackartowski“, pełen piany morskiej i mew, dopiero na tylnym prawie planie ukazujący amorka.

„Pokusa“ M. Simonisa: młodziuchna, niebiesko odziana dziewczyna, krocząca przez łan lilij, z zarośli wynurza się szatan z zwierciadłem, by obudzić w niej poczucie swej piękności. Znowu Belgijczyka Dujardina: „Uroki“ osnute są na tle wierzeń ludowych. Z sadzawki wynurza się głowa czarownicy z złemi oczyma, wkoło bujna roślinność, maki, kosaćce, tulipany, dzwonki, malowane z wielkim talentem.

Ukryty jest wreszcie w kącie nieduży obrazek „Krzyżowcy“ A. Bussiére'a. Osoby ma miniaturowe, sam lekko impresyonistyczny, ale wieje zeń najwięcej może świeżości. Na pastwisko szerokie, zielone, z lekkimi wzgórzami i krzakami chwastów wjeżdża długim, różnobarwnym rzędem rycerstwo krzyżowe. Konie wesoło cwałują, powietrza dokoła wiele, na wzgórzu hen w uboczu drzewa. Rząd ich będzie snać ciągnął się długo, bo widać z tyłu sporo szyszaków. Ale gdzież symbolizm? biały anioł wiodący wojsko?

Włodzimierz Bugiel.

„DZIEŃ ZADUSZNY“.

(OBRAZEK).

Już blaskiem świateł zajaśniało miejsce spoczynku i snu wiecznego! Łyczaków gore jakby nieskończoną smugą świecącą, ciągnącą się hen, daleko... Nad Łyczakowem krwawym płomieniem błyszczą się niebiosa.

Wszyscy tam spieszą, na zimne mogiły, by oddać raz w roku należną cześć zmarłym, strojąc ich groby morzem płomieni i stosem wieńców.

Rojno i gwarno w tym przybytku zawsze posępnym, ponurym i cichym; wśród rozmów i pytań czasami słyszysz echo pieśni smutnej a tęsknej, szept pacierzy zwykłych, modlitwę zmarłych, gdzieniegdzie jęk wydobyty z piersi, przepełnionej bolesnemi wspomnienami, tu ówdzie śmiech pusty; zdaleka, z przed bramy cmentarza nosowy śpiew dziadków, prośby i ich łkania często urywane!

To dzień zaduszny! wszyscy tam dążą!

* * *

I biedny Janek bez ojca, bez matki biegnie dziś szybko Łyczakowską drogą. Ojca nie pamięta, bo mu umarł dawno; lecz pamięć matki dobrze w sercu chowa, bo jej dobroć, łagodność zawsze mu stoją przed oczyma, jako rażący kontrast złości tych ludzi, w których ręce dostał się teraz. Biedna bo matuchna na łożu śmiertelnem wyprosiła dlań miejsce i przytułek u szwagra swego, szewskiege majstra. Po jej więc śmierci biedny Janek, sierota, ledwie 10 lat liczący, udał się w dom nowego swego opiekuna, gdzie wyznaczono mu miejsce przy warsztacie.

Już sześć miesięcy, gdy bladą mamę włożono w trumnę i w zimny spuszczono grób? Już sześć miesięcy! ciężkich dla Janka, bo w cudzym domu nie znano dlań wcale ni względów żadnych, ni żadnej litości. Od wszystkich odpychany, bity, potrącany nie znalazł żywej duszy, któraby użaliła się nad jego dolą, nie znalazł nikogo, ktoby go przycisnął do serca, ztarł łzę dziecięcą. A łez tych tyle spłynęło po licach biednego sieroty! Gdy przez wszystkich złajany, wybity, przezwany miał czas odetchnąć, myślą biegł w ubiegłe lata, w których matkę swoją uczył się kochać i czcić zarazem. Wtedy przypomina sobie jej lube pieszczoty, jej nauki piękne, jej blade zawsze, tak smutne oblicze, te powiastki śliczne, które mu opowiadała matuchna, i gdy już w łóżeczku główkę na poduszce złożył, nim ostatni jej pocałunek zamknął mu powieki snem znużone. I wśród myśli jakich łzy jak groch cisną się z pod rzęs chłopakowi — płacze więc łzami, których wątek w sercu. Ciężkie dlań życie w domu opiekuna!

Dziś więc, gdy wszyscy z domu się wybrali, by obejść miejsca spoczynku wiecznego, przejrzeć rzędy grobów pięknie oświeconych — nasz biedny Janek także spieszy prędko na grób swej matki.

Tam się pocieszy, tam szczerze wypłacze.

Matce dziś w górze sprawi wielką radość! bo oto szóstkę, którą złożył sobie, obróci ku uczczeniu jej zimnej mogiły; 4 łojówki oświecą ją jasno, a za sześć groszy wianek ozdobi jej krzyż prosty.

Otóż i cmentarz! Pod górę się wspina nasz biedny Janek główną aleją, stąd na prawo ścieżką koło Dobrzańskich grobowca kieruje swe kroki — tuż obok mogiła opuszczona z prostym krzyżem widnieje ż daleka. Tam biegnie sierota. Przypadł do grobu, ukląkł na nim i „Anioł pański“ odmawia nabożnie a łza kręci mu się w oku.

Po ukończonej modlitwie wyjmuje skarb swój: cztery łojówki i wianek kupiony przy bramie cmentarza. Ręką odgarnął ziele i trawę i na czterech rogach grobu świece błysnęły swojem słabem światłem. Na krzyżu zawisł wianeczek skromny.

Dziwnie odbija to małe światełko od rzęsiście oświeconych i pysznie strojnych mogił i grobowców. Dla sieroty jednak światło to tak jasne jak samego słońca! Ono jego dziełem! Książeczkę wyjął z kieszeni i przy niem odmawia modlitwy za zmarłych. Modły jego lecą szybko do nieba, przedtron Najwyższego i oczy Janka kierują się ku niebu! Twarzyczka jego uśmiechnięta błogo!.. Widzi swą matkę wsród grona aniołów, śmiejącą się tak ślicznie!.. już z twarzy znikł smutek, w jej życiu gość codzienny. Szczęśliwa!.. I czuje Janek, że jej szczęście w niebie musi być wielkie, niezmierne! Modli się goręcej...

Serce sieroty napełnia dziś radość — i szczęście niewysłowione. Grób swej kochanej, złotej matuchny on oświecił także! Jak na innych grobach tak i na tym zeschły wianek zastąpiono świeżym. A więc ten równy i bogatym grobom i pięknym grobowcom, bo i na nim błyska światło i przy nim czuwa dusza życzliwa i modli się nabożnie. A dziełem to Janka!

Jak mógł tak uczcił grób, który kryje skarb jego jedyny — jego matkę złotą. Szczęśliwy więc dzisiaj! Ten dzień jeden, tak błogi dlań, tak piękny, stanie mu za rok cały, twardy, ciężki.

Dziś wesół!.. bo uczcił swą matkę.....

Zygmunt Bogusław.

KRONIKA.

⁂ Pomnik Chopina odsłonięto 15 bm. w jego miejscu rodzinnem: Żelazowej Woli pod Warszawą. Imieniem Tow. muzycznego przemawiał tam dyr. Z. Noskowski, poczem odśpiewano tegoż kantatę do słów poety Andrzeja Niemojowskiego.

⁂ P. Helena Modrzejewska wystąpi 12 razy na scenie teatru hr. Skarbka. Pierwszy występ znakomitej artystki naznaczono na piątek 26 bm. w „Damie kameljowej“.

⁂ „Z za kulis i ze świata“, noszą tytuł szkice, obrazki i humoreski utalentowanego autora „Miatieży“ Aurelego Urbańskiego (tomik II.), które wyszły nakładem Zuckerkandla w Złoczowie. Zalecają się one, jak zresztą wszystkie utwory Urbańskiego dużą barwnością i pogodnym, częstokroć o głębokim satyrycznym podkładzie, humorem. Do najlepszych należą: Z monografii „Smołowca“ i Afazya.

⁂ Z teatru. P. St. Graybner, autor „Fredzia“ „Ireny“ i drukowanej w naszem piśmie powieści: „Mamin synek“ wystąpił przed lwowską publicznością z nową komedyą, przerobioną z utworu powieściowego, pt. *Maruder*, którą stawiamy w rzędzie scenicznych prac p. Graybnera, autora bardzo utalentowanego, na ostatniem miejscu. *Maruderowi* brak jednego wielkiego przymiotu: prawdy, tak w rysunku i charakterystyce poszczególnych postaci, oddychających jakąś atmosferą przedwiekową jak i w sytuacyach. I dziwny to doprawdy objaw, że p. Graybner, przejmujący się nowemi hasłami w *Irenie*, tak się dał wziąć na lep reakcyi w *Maruderze*. Niektóre epizody w tej komedyi pobudzają do śmiechu. Sztukę grano doskonale, w pierwszym rzędzie na wyróżnienie zasłużyli: pp. Fiszer i Feldmann, oraz panie: Cichocka, Gostyńska, Siemaszkowa, Kwiecińska i Polkowska, która czyni coraz większe postępy.

⁂ Z wytężonem zaciekawieniem oczekiwano w świecie teatralnym nowej sztuki Sudermann'a, odegranej w Berlinie i Wiedniu. Była nią komedya w czterech aktach p. t. Schmetterlingsschlacht“. (Walka motylów), rzecz osnuta na motywie bezbronności młodych dziewcząt w walce życiowej, które, niby motyle, lekkomyślnie i naiwnie walkę tę staczają. Sztuka miała wielki sukces, ale tylko w sferach inteligencyi i to jeszcze nietej, która przestarzałych form artystycznych broni. W tych kołach zarzucano Sudermann'owi, jak to i dawniej się zdarzało, zbyt ostry realizm i cynizm niektórych postaci. Wykonanie w teatrze Lessinga w Berlinie było świetne, grali pp.: Pölnitz, Guthery, Schönfeld, Gross, Waldege i Retty. Ta ostatnia w roli naiwnego dziewczęcia zbierała największe oklaski. W teatrze „Burgu“ wystawiono po raz pierwszy sztukę Sudermann'a 6bm. Była uknuta cała intryga aby sztuce zgotować fiasco, co zresztą skierowane było raczej przeciw panu Burckhardtowi, dyrektorowi teatru. Ale demonstracya nie powiodła się. W wykonaniu brali udział pp.: Hohenfels, Hartmann, Sandrock, Mitterwurzerl Baumeister i Reimers.

⁂ Fulda, autor „Talizmanu“, wystąpił w teatrze „Residenz“ w Berlinie z nową sztuką trzyaktową p. t. „Koledzy“ („Die Kameraden“). Nowy ten utwór utalentowanego pisarza jest ostrą satyrą nowoczesnych „Precieuses ridicules, — kobiet, garnących się do „cyganeryi“ literackiej, goniących za swobodnem „koleżeństwem“. Bohaterka sztuki, pragnąc takiego swobodnego życia, porzuca męża i otacza się „kolegami“ z pośród literatów, niebawem wszakże stosunki te przynoszą jej rozczarowanie, przychodzi bowiem do przekonania, że tylko „kobieta jest prawdziwym kolegą kobiety“ i połączywszy się z pewną starą panną, wyjeżdża do Monaco, by „w odległym, cichym zakątku ziemi“ znaleźć „spokój i upragnioną wolność“. Porzucony mąż zaś znajduje inteligentną, pracowitą i racyonalnie na świat patrzącą dziewczynę, którą poślubia. „Koledzy“ zyskali uznanie tak publiczności, jak krytyki, która zaznacza doskonałe przeprowadzenie charakterów, trafną satyrę i żywość akcyi.

⁂ Los Kamoensa i tylu pisarzy znakomitszych znalazł znów w Polsce powtórzenie. W szpitalu na Pradze pod Warszawą zmarł Edward Chłopicki, zamiłowany szperacz po archiwach domowych, z których wyciągał mnóstwo ciekawych danych i publikował po czasopismach warszawskich. Notatkom swoim nadawał on formę opisów podróży po kraju i zyskiwał sobie przez to licznych czytelników.

⁂ W „*Kronice społecznej*“ (nr. 7) znajdujemy interesujące artykuły: „O psychologii anarchizmu“ i „Emancypacyi kobiet“. Cały zeszyt jest bardzo zajmujący.

⁂ Jubileusz 50-letni Straussa obchodzono uroczyście w Wiedniu. „Król walców“ wystawił świeżo w teatrze *an der Wien* operetkę pt. „Jabuka“ („Alpenfest“), która doznała wielkiego sukcesu.

⁂ Wydany w Lipsku przed ośmiu czy siedmiu laty poemat Zygfryda Lipinera p. t. *Der entfesselte Prometheus* (Prometeusz rozpętany) znalazł tłómacza na język polski w osobie poetki, pisującej pod pseudonimem Elka.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Pani Zofii. I my za Panią pytamy, na czem polega tu dowcip? Widocznie, że nastał czas ogórkowy na prawdziwe koncepta.

Ciekawemu. Owszem, nawet istnieją dwa tłómaczenia; polecamy przekład pani Malw. Garfein. Tytuł polski: „Znużone dusze“.

Naczelny redaktor: **Józef Bornsztein.**

Kantor wymiany

c. k. upr. galic. akcyjnego Banku hipotecznego

kupuje i sprzedaje wszelkiego rodzaju papiery i monety po kursie dziennym najdokładniejszym nie licząc żadnej prowizyi.

Jako dobrą i pewną lokacyę poleca:

4½ prc. listy hipoteczne
5 prc. listy hipoteczne premiowane
5 prc. listy hipoteczne bez premii
4 prc. listy Towarz. kredytowego ziemskiego
4½ prc. listy Banku krajowego
4½ prc. pożyczkę krajową galicyjską

4 prc. pożyczkę krajową galic. koronową
4 prc. pożyczkę propinacyjną galicyjską
5 prc. pożyczkę propinacyjną bukowińską
4½ prc. pożyczkę węgierskiej kolei państwowej
4½ prc. pożyczkę propinacyjną węgierską
4 prc. węgierskie Obligacye indemnizacyjne

które to papiery jakoteż i wszelkie renty austryackie Kantor wymiany Banku hipotecznego zawsze kupuje i sprzedaje po cenach najkorzystniejszych.

Uwaga: Kantor wymiany Banku hipotecznego przyjmuje od P. T. kupujących wszelkie **wylosowane a już płatne miejscowe** papiery wartościowe, tudzież **zapadłe kupony za gotówkę, bez wszelkiego potrącenia**, zaś **zamiejscowe**, jedynie za potrąceniem rzeczywistych kosztów.

Do efektów, u których, wyczerpały się kupony, dostarcza nowych arkuszy koponowych, za zwrotem kosztów, które sam ponosi. (4)

Doskonałą herbatę

CHIŃSKO-ROSYJSKĄ

poleca

stary handel

Izydora Wohla

założony w r. 1870

we Lwowie

ul. Sykstuska l. 6.

Lwowskie laboratoryum chemiczne

świadectwem z dnia 24. marca 1892 roku do l. 1918 stwierdziło, że jedynie

TUTKI NIEKLEJONE

z fabryki

S. W. Niemojowskiego we Lwowie

są znakomite i zdrowiu nieszkodliwe.

Do nabycia w sklepach

S. W. Niemojowskiego

WE LWOWIE

ul. Teatralna 3 i ul. Jagiellońska 6.

w **Krakowie** Sukiennice 28

oraz we wszystkich handlach i trafikach

Zlecenia z prowincyi uskuteczna się odwrotnie — przy 5.000 sztuk franko.

Ostrzega się przed licznemi naśladownicwami.

Galicyjski Bank Kredytowy

począwszy od 1 lutego 1890 wydaje

4% ASYGNATY KASOWE

z 30-dniowem wypowiedzeniam

3½% ASYGNATY KASOWE

z 8-dniowem wypowiedzeniem.

Wszystkie zaś znajdujące się w obiegu 4½% **Asygnaty kasowe** z 90-dniowem wypowiedzeniem, oprocentowane będą **począwszy od 1. maja 1890 po 4%** z 30-dniowym terminem wypowiedzenia.

Lwów dnia 31. stycznia 1890.

(Przedruk nie będzie płacony). **Dyrekcya.**

Wielka kawiarnia wystawowa

i

Restauracya zimna

Jana Ważnego i S-ki

znajduje się na placu wystawy w znakomitym punkcie, po naprzeciwko „fontany illuminaise“ oraz hali koncertowej. Poleca swą znakomitą kawę, (nabiał hr. Skarbka) oraz wszelkie przekąski i napoje.

Ceny przystępne.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Edmund Ostruszka**. Z drukarni E. Ostruszki, Lwów. Sykstuska